

Najgorszy okres w semestrze został oficjalnie rozpoczęty. Zazwyczaj na około miesiąc po rozpoczęciu zajęć kończy się tzw. okres ochronny, kiedy profesorowie nie chcą przeciążać swoich studentów, „bo to przecież początek semestru”. Jednocześnie zaczyna się orka, bo ci sami profesorowie nie zdążyli jeszcze dojść do wniosku, że studenci nie mogą koncentrować się tylko i wyłącznie na ich przedmiocie. Dlatego też tygodniowo trzeba średnio: napisać cztery eseje, przygotować się do dwóch testów i przeczytać 300-400 stron książek, podręczników, artykułów, komentarzy, itp. Dopiero po pewnym czasie (zazwyczaj po 2-3 nieprzespanej nocy z rzędu) mała grupka studentów postanawia porozmawiać z profesorem o ilości omawianego materiału. Skruszony wykładowca próbuje poprawić swój wizerunek i przez kolejne 2-3 tygodnie na zajęciach nie trzeba robić prawie nic... a później znów się zapomina i cykl się powtarza się aż do końca semestru. Na pierwszym roku większość studentów zaczyna wariować, ponieważ są przekonani, że taki nawał pracy czeka ich bez przerwy. Na szczęście większość szybko przekonuje się, że jest zupełnie inaczej, a potem wpada w odpowiedni rytm. Na drugim roku wrzesień i październik są łatwiejsze do przetrwania, ponieważ wiesz, że chociaż w tym tygodniu nie będziesz spać, bo musisz przygotować się do zajęć, w przyszłym tygodniu jedynym powodem, dla którego śpisz mało jest wyjście na imprezę.

Mówiąc o imprezach... Na szczęście po każdym wyczerpującym tygodniu nauki przychodzi upragniony weekend. A wtedy nie ma większych problemów ze znalezieniem czasu na relaks. [Jakby się nad tym głębiej zastanowić, prawdopodobnie większość studentów nie śpi w ciągu tygodnia, bo w trakcie weekendu „relaksuje się” za bardzo...] Warto jednak pamiętać, że czasami wyjście na imprezę może okazać się wydarzeniem o charakterze edukacyjnym... W ostatnią sobotę obudziłam się rano z silnym postanowieniem napisania dwóch esejów, zrobienia pracy domowej i przeczytania „Don Kichota”. I prawdopodobnie udałoby mi się to wszystko zrobić, gdyby moja przyjaciółka nie zadzwoniła do mnie o 10 z pytaniem, czy chcę iść do Central Parku. „Ok., praca domowa może poczekać kilka godzin” – pomyślałam. Jak to zwykle bywa, wyjście do Central Parku zostało uzupełnione o wspólne śniadanie, szybki wypad na kawę i mały rajd po Macy’s. Z silnym postanowieniem spędzenia całego wieczoru z Don Kichotem wróciłam na Brooklyn. Ponownie, pech (???) chciał, że koleżanka koleżanki mojej przyjaciółki (albo ktokolwiek inny, o kogo istnieniu nie miałam pojęcia) organizował imprezę urodzinową. No a jak można nie iść na przyjęcie urodzinowe koleżanki koleżanki swojej przyjaciółki?! Tym bardziej, gdy przyjęcie odbywa się na dachu jednego z

budynków, co gwarantuje świetną zabawę i super widoki. Więc poszliśmy. Faktycznie, widoki były super. Świetna zabawa też była, jednak po pewnym czasie przerodziła się w mój monolog o Polsce. Padały wszystkie możliwe pytania – od standardowego „Czy mówisz po Rosyjsku?”, poprzez „Jak długo leci się do Polski?”, na „Po której stronie byliście w drugiej wojnie światowej” kończąc.

Prawdopodobnie większość z Was zastanawia się „Po co ona w ogóle o tym pisze? Przecież nikogo nie obchodzi co działo się podczas jakiejś durnej imprezy!”. Piszę, bo wydarzyło się coś, co bardzo mnie zaskoczyło. W pewnym momencie do naszej grupy dołączyła dziewczyna. Gdy usłyszała, że jestem z Polski zaczęła krzyknąć „O mój Boże, ona jest z Polski! Znasz Wałęsę?”. Na informację, że pochodzi on z mojego miasta, dziewczyna zaczęła skakać i informować wszystkich w zasięgu wzroku, że Wałęsa to jedna z najważniejszych postaci w historii Europy; że to dzięki niemu miała miejsce „rewolucja” w 1989; że mimo, że nie był najlepszym prezydentem w pełni zasłużył na nagrodę Nobla, bo zapoczątkował przemiany w Europie Wschodniej, zmieniając bieg historii. Tak, osoba urodzona i wychowana w Stanach Zjednoczonych nie tylko wiedziała o tym wszystkim, co wydarzyło się w naszym kraju, ale dodatkowo była tym wszystkim całkowicie zafascynowana. Być może Wam ten epizod wydaje się nieznaczący. Dla mnie jednak była to miła odmiana po miesiącach tłumaczenia, że Polska nie jest krajem trzeciego świata, że Polacy w piątkowe wieczory nie pasą kóz tylko wychodzą ze znajomymi, że nie spędzamy całej niedzieli w kościele, i że chociaż nie mamy Dunkin Donuts jesteśmy normalnymi ludźmi. Tak, to była miła odmiana...

*Agata Dec*